

**TADEUSZ
KONWICKI**

**WSCHODY
I ZACHODY
KSIĘZYCA**



Tadeusz Konwicki

WSCHODY I ZACHODY KSIĘŻYCA

Wydawnictwo Estymator
Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67769-57-0

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

www.estymator.net.pl

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa (2010),
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował
Przemysław Kaniecki

Wydanie I: Wydawnictwo Krąg, Warszawa 1982

Projekt okładki: Olga Bołdok

I

Odrzuca mnie. Odrzuca mnie od beletrystyki. Z siłą silnika odrzutowego odrzuca mnie od roboty fabularnej. Utrzymanie prestiżu wymaga płodzenia od czasu do czasu powieści. Już najwyższa pora, żeby wykrztusić z siebie tom prozy. Ale nie mogę. Ale nie mogę.

Występna pamięć usłużnie przypomina książkę, którą pisałem siedem lat temu. Już siedem lat. Niby dziennik, łże-pamiętnik, apokryf autobiograficzny. Powieść-życie, a właściwie opowiadanie-kalendarzowy odcinek życia. Jednym słowem „Kalendarz i klepsydra”. Miło mi się pisało, lekko, bez katorżniczego wysiłku. Choć nie ambitnie. Bo w prozie fachowcy i autorzy cenią wyżej to, co z głowy, to znaczy z niczego, od tego co z życia, co z biografii. Więc poważny dylemat. Czy łatwo i nieambitnie, czy z trudem, ale na najwyższej nucie.

Lepiej łatwo, lepiej jak leci, lepiej śmietnik życia. Albo raczej powieść-kawałek życia. Umówmy się, że jestem dobrze napisanym bohaterem powieściowym i że w 1981 roku przeżyję lawinę nadzwyczajnych przygód, wodospad zdumiewających konfliktów i odrobinę, nie za wiele, kilka mocnych katastrof miłosnych.

*

Zapłodniłem wtedy kolegów. Po „Kalendarzu i klepsydrze” posypały się obficie różne kalendarze i dzienniki. Ktoś mógłby zapytać: a cóż to za wynalazek pisanie dzienników? Tak, pisanie dzienników to rzeczywiście żadna nowość. Ale co innego dzienniki, straszny longier z całego życia, a co innego utwór beletrystyczny uformowany w kształt raptularza. Co innego odbębniać tygodnie i miesiące jak leci, a co innego skomponować rok z soczystego życiorysu i z pełnej, nieskrepowanej fantazji. Tak więc coś jednak wymyśliłem. Może nie w skali europejskiej, może nawet nie w wymiarze ogólnokrajowym, lecz jednak trochę wymyśliłem.

Wiem także, iż niedobrze jest się chwalić. A w dodatku na samym początku mojego żmudnego maratonu. Ale proszę bardzo, mogę sobie zapeszyć ten mój ułatwiony zamiar. Niech to więc będzie utrudnieniem ułatwionego.

I oto raptem odczuwam ochotę, żeby zaśpiewać. Żeby przy pomocy przymiotników, zaimków i kropek, przy pomocy materiału epickiego zaśpiewać sobie znieńcka i pociągnąć za uszy czytelnika w stronę nieba, z którym będziemy często mieli do czynienia w tym moim własnym, osobistym, zastrzeżonym tylko dla mnie roku 1981.

*

Może ja się mylę, ale przecież w kulawym stukocie mojej prozy słyszę jakieś powabne szczątki melodii i wdzięczne odpryski jakichś rytmów. Może przez te lata, kiedy nie pisałem, mózg mój przeobraził się częściowo w przenośny instrument muzyczny. Może w głowie mojej podrózuje przez świat jakaś okaryna albo przynajmniej gwizdek.

Bo, wstyd powiedzieć, od pewnego czasu cierpię na zawodową chorobę literatów nie będąc zawodowym literatem. Otóż w jakiejś panice chwytam się różnych zajęć, żeby nie wypaść z obiegu. Zaczynałem kilka razy różne książki, przygotowywałem dziwne nawet dla mnie samego filmy. A tę histerię niemocy znam od dawna, obserwowałem ją u innych, sam sobie ją wywróżyłem z inklinacji masochistycznych.

Ja wiem, że jeszcze piszę obok, wiem, że szkoda czasu na te dywagacje, którymi rozpędzam mój wehikuł prozy. Bo ja, proszę państwa, muszę się rozgrzać, poluzować mięśnie, wpaść w rytm, żeby podolać długim dystansom. Gorzej, muszę siebie usłyszeć, zapamiętać ten dźwięk mego wewnętrznego kamertonu, który będzie mnie prowadzić w nowej przygodzie.

Jeszcze nie słyszę. Macam ciemność przede mną. Nie wiem, kiedy to się stanie. Może na następnej stronie, a może dopiero na czterdziestej czwartej. Taką właśnie stronę wymieniam, żeby podeprzeć reklamą mego rodaka spod Nowogródka.

II

1981. Patrzę na tę datę oczami człowieka z niewiadomej przyszłości. Co ten rok oznacza, co przypomina, jaką aurę psychologiczną przekazuje potomnym? 1980 i 1981 – lata jeszcze jednego powstania. Wynalazek Polaków. Bezkrwawe powstania. Albo raczej – prawie bezkrwawe powstania. Powstania psychologiczne. Insurekcje w sferze samoświadomości. Rewolty w nerwoobiegu libida. 1956, 1968, 1970, 1976 i 1980.

Czy zwyciężyliśmy, czy przegraliśmy. Nikt nie wie. Ani Breżniew, ani Papież. Powiadam do kogoś: „Zająłem ci miejsce w kolejce do fortepianów”. Rzeczywiście w Alejach Ujazdowskich przed sklepem muzycznym ustawił się ogonek, bo ogromna ciężarówka z przyczepą przywiozła pianina i fortepiany firmy „Calisia”. A pół godziny przedtem widziałem długi ogon przed radzieckim sklepem „Natasza”. Dlaczego na mrozie stali przed tym kiepskim sklepem potomkowie hetmana Żółkiewskiego i generała Dowbór-Muśnickiego? Może „rzucono” do sklepu złote radzieckie pierścionki. Wymyśliłem z rozpaczy kilka marnych grepsów w swoich książkach i moi rodacy z posępnym uporem realizują te moje grepsy. Przed rokiem moje filmy szły na przeglądzie w warszawskim kinie „Zdrowie” pod tytułem „Lenin w Polsce”. Dzisiaj film dokumentarny z sierpnia ubiegłego roku „Robotnicy ‘80” idzie w kilku kinach pod tytułem „Seanse zarezerwowane”. A to przecież ja zażartowałem w „Małej Apokalipsie”, że w kinie „Wołga”, dawniej „Skarpa”, pod szyldem radzieckiej komedii muzycznej „Światłana przyszłość” idzie polski film niepokoju moralnego „Transfuzja”.

Sklepy spożywcze z octem i sfermentowanymi kompotami, sklepy odzieżowe z ubraniami dla ułomnych, sklepy z butami bez butów, sklepy z artykułami technicznymi oblepione komunikatami, odezwaniami i apelami społecznych, obywatelskich komitetów ogonkowych dla zakupu odkurzacza czy lodówki w systemie przedpłaty i loterii. Na drzwiach jakiegoś sklepu napis: „Z powodu choroby sklepu personel nieczynny”.

Kilka setek, a może kilka tysięcy gazet „Solidarności”. Nikt ich nie kontroluje i pewnie nikt nie czyta. Ale są, sypią się codziennie z nieba zamiast śniegu tej bezśnieżnej zimy. Piszą o wszystkim, o czym nie pisano przez trzydzieści pięć lat. Piszą o tym, o czym było strach pomyśleć podczas bezsennej nocy ostatniego czterdziestolecia.

Partia nasza kochana, partia, która zwalczała Boga, bo odbierał jej wielbicieli, partia, która tępiła przeznaczenie jako aroganckiego rywala, partia, której się zaczęło zdawać, że na którymś plenum powołała do życia wszechświat, ta nasza rozkapryszona, wypieszczona, rozkochana w sobie partia padła nosem w błoto i już pół roku tarza się w poniżeniu, w kompletnym upadku, w totalnym rozpadzie. I to ścierwo partii włóczę i szarpia nie sępy imperializmu, ale rozwścieczeni szeregowcy

partyjni, proletariusze, reprezentanci ludu. A partia, ćwiartowana, kopana, bezczeszczona kwili tylko cichutko o swojej kierowniczej roli.

Społeczeństwo polskie w kilka tygodni podzieliło się na dwie substancje biologiczne. Na ogromną masę narodu i na maleńki szczep bakterii obcej agentury. Kilkadziesiąt tysięcy obcych agentów usiłuje rządzić trzydziestosześcioletnim narodem. Przypomina to trochę próbę kopulowania słonia przez mysz.

*

Pan Bóg zaczął sprzyjać Polakom. Nie wiadomo czemu, w końcu XX wieku ni z tego, ni z owego poszła karta moim rodakom. Co podniosą rozdanie, to dwa bez atu z ręki.

Nawet ta zima, zima 1980/1981, przyszła jakby na paluszkach, delikatnie, bez agresji i brutalnych wybryków. Osłabły reżym chętnie by przymroził hardych Polaków, już tu i tam, tędy i owędy przytrzymał dowóz węgla do elektrociepłowni, ale opatrność czuwa i nie pozwala rtęci opaść w termometrach poniżej zera. Tej zimy może dwa, albo trzy razy nałożyłem swój stary kozuch z Sokołowa Podlaskiego, kozuch-prekursor mód wschodnioeuropejskich.

Trochę sypnie śniegiem, trochę powieje ciepłym wiatrem z dewizowych krajów, trochę zamgli, trochę siąpnie deszczykiem i tak leci w stronę wiosny. W nocy zawał, w nocy raptowny atak lęku, ale w dzień jakoś idzie. Od ogonka do ogonka. Tu ćwiartka masła, tam kilo mąki, a ówdzie dwa metry podszewki.

A to wszystko zbiega się, współgra, rymuje się z moim własnym losem. W zeszłym roku operacja raka gardła, w tym roku wszystkiego po trochu, dziesięć różnych dolegliwości. Mógłbym powiedzieć – ze starości. Ale nie, tak dobrze nie będzie. To jeszcze nie starość. Starość dopiero przyjdzie. A na razie to dopiero kara za grzechy. Lecz za jakie grzechy? Kto i kiedy grzeszył? Ja, my, oni? Wszyscy. Grzeszyliśmy, grzeszymy, albo będziemy grzeszyć.

Zasypiam o północy i śpię dwie, trzy godziny. Potem leżę, trochę drzemię i tamuję w sobie jakiś zawieszisty ból złych przeczuć, złych przeżyć, złych złości. Coś mnie zjada. Ale do mety jeszcze daleko. Nie ma się co pocieszać.

Rozstrojony dom brzmi swoim nocnym brzmieniem. Dom, w którym mieszkam dwadzieścia pięć lat, czyli ćwierć wieku. Dom, w którym pękają szyby, łamią się zamki, kruszą się rury. Trzeba się cieszyć każdą nadchodzącą godziną, każdym darowanym dniem. Kto tak powiedział? Jakiś osioł. Jakiś zadowolony z życia osioł albo filozof.

Trzeba wstać z wyra i iść cieszyć się życiem.

*

To jest dziwna sprawa. Jeszcze nigdy pod tym ustrojem społeczeństwo nie uzyskało tak wiele. I ani krztyny radości, ani płomyka entuzjazmu, ani chwili euforii. Co to jest, co to znaczy?

Sześć miesięcy wydzierania z gardła reżymowi podstawowych swobód demokratycznych czy przynajmniej ersatzów tych swobód w nastroju pesymizmu, smętku, zabobonnego odpukiwania, niewiary i ponurości.

A i partia niewesoła, mocno zgorzkniała i lekko masochistyczna. Ze srogim stękanem wydaje z siebie, co nakradła, przywłaszczyła, uzurpowała.

*

Kolaboranci zachowują się niezrozumiale. Przy dawniejszych kryzysach reżymu rzucali się w ramiona opozycji szukając rozpaczliwie alibi. Wyrzekali się przeszłości, bili się w piersi, obiecywali poprawę. Wielu przepychało się do czoła pochodu odnowy.

A tym razem nie. A tego roku zhardzieli. To znacz nie od razu. Najpierw runęli do prezydiów „Solidarności”, już otworzyli usta, żeby zakrzyczeć antyreżymowo i nagle usta zamknęli, wycofali się chyłkiem z mateczników rewolty. Jeszcze kilka tygodni i oto szydzą z dziesięciomilionowej „Solidarności”. Wykpiwają samorządne aspiracje społeczeństwa. Świętokradczo prowokują obudzony naród.

Co się stało, że nie trzęsą portkami, jak zawsze trzęśli w podobnych sytuacjach? Co wiedzą, czego my nie wiemy? Co widzą ponad naszymi głowami, czego my nie widzimy?

*

W październiku zeszłego roku byliśmy u Marysi, naszej starszej córki. Posłuszni odwiecznym rytuałom nawiedzaliśmy dziecko w dalekiej legendarnej Ameryce. Z węzełkami i tobołkami w przepelnionym jumbo-jecie jak na węglowym parostatku przebyliśmy tę starą wielką wodę, czyli Atlantycką. Przybrałem minę czcigodnego starca, którego wyższy nakaz prowadzi w tej rytualnej pielgrzymce. Z dostojnością prostego człowieka przykucnąłem na plastikowym fotelu w brzuchu latającego wieloryba. To uczucie wewnętrznej prostoty zawsze łatwo osiągam, kiedy udaję się do kraju, którego języka nie potrafiłem należycie przyswoić.

Jak ta ostatnia podróż szybko zaciera się w mojej pamięci. Dwie poprzednie amerykańskie peregrynacje zapisały się dosłownie w moich wspomnieniach. Na pewno odegrały jakąś rolę w chemiczno-elektrycznych procesach mojej świadomości. Coś jej pewnie dały, a coś innego odebrały. Tamte dwie podróże uformowały się w całe archipelagi jakichś anegdot, przypowiastek, bon motów. Miały te podróże, jak prawdziwe dzieła sztuki, wyszukane kształty i jaskrawe kolory. A ta ostatnia nic. Jak chwilowy przeciąg. Jak droga przez zaorane pole. Jak niespełniony zamiar.

A przecież była to dobra podróż. Może nawet najlepsza. Przesiedzieliśmy u Marysi w samym sercu serca Manhattanu pięć tygodni w trybie rodzinno-wakacyjnym. Długie spacerki w dół albo w górę wyspy, sporo nerwowej telewizji, trochę czytania w krzeselkach, czyli w alfabecie rosyjskim i noce ze skradającymi się lękami, których nową porcję nażyłem w szpitalu z okazji dwóch, a właściwie trzech operacji. Te strachy przychodziły nad ranem, kiedy zaczynałem się dusić z braku powietrza. I tak w pracowitych konwulsjach dusiłem się aż do dnia, aż do śniadania, choć doskonale wiedziałem, że to zwykła histeria, bo moja rura wdechowa jest teraz po operacjach dużo szersza niż u normalnego śmiertelnika.

Maleńka sypialnia, w której rezydowałem, miała wielkie okno jak obraz nieznanego malarza szwajcarskiego z końca XIX wieku. Na tym obrazie ujętym w białe proste ramy widać było u dołu kłębowisko zszarzałej trochę zieleni platanów, i z tej przywiedlejszej zieleni, jak z runa kosodrzewiny, wystrzelały w górę niebotyczne szczyty alpejskie, a wśród nich wielki, majestatyczny, rozświetlony masyw Mont Blanc. To wszystko lokowało się na intensywnym, banalnym i dumnym z banalności błękitnym błękitnie nieba przy końcu indiańskiego lata.

Oczywiście ten alpejski krajobraz tworzyły drapacze chmur z jednym największym, białym jak kość, dotykającym sklepienia nieba i oblanym gęstym światłem jesiennego słońca. A wśród platanów czerwieniły się jeszcze jakieś nieznanne mi bliżej orzechy, a z bocznych listew ramy wydobywały się od czasu do czasu przeraźliwie białe obłoki i przywierały do zbocza Mont Blanc, a kilka razy w padołach

przełęczy alpejskich wyrzynały się z niebieskości nieba olbrzymiejące i rozplywające się później litery sloganów reklamowych rozpinanych na niebie przez samoloty.

Przywiązałem się do tego obrazu i to był mój własny, osobisty, przez nikogo nigdy nieoglądany landszaft w manierze surrealizmu. Właściwie istnieje do dzisiaj ten kolorowy widoczek, łatwo mi go przywołać, kiedy tylko zamknę powieki. Kto wie, czy to nie najcenniejsze trofeum, które mi się udało przywieźć z dalekiej podróży.

Ale ja chciałem nie o tym. Zamierzałem wspomnieć o tej naszej, mojej, waszej Polsce, która tu, w dziwnej starożytno-nowożytno-nuworyszowskiej Ameryce odbijała się krótkimi refleksami tragicznego światła. Może nie tragicznego, ale przynajmniej posępnego światła, światła mocno ściemnionego. I od tych krótkich, nieżywych błysków chorego światła rosła bujnie Polska w mrowisku nowojorskim. Zewsząd wyłaziła, wszędzie się pojawiała, a nawet – mówiąc ostrożnie – na każdym kroku panoszyła się Polska. Pierwszy raz w tym wieku przekroczyliśmy liczącą się granicę: wyrozumowana uwaga dla sprawy, dla problemu zaczęła się przemieniać w sympatię dla pewnego obszaru geograficznego i dla pewnych ludzi.

Po raz pierwszy w tym stuleciu przestaliśmy irytować swoją obecnością, swoim istnieniem wycwanione mocarstwa zachodnie. Po raz pierwszy okazało się, że nasze życie jest początkiem ich życia, że nasz los jest osnową ich losu.

Trochę się zapędziłem. Tak dobrze będzie może kiedyś w przyszłości. Ale przynajmniej przestali męczyć, że nas nie rozumieją. Przestali machać na nas ręką. Przestali wzruszać ze zniecierpliwieniem ramionami. Przestali zmieniać temat. Przestali podkochiwać się w Rosjanach. No, tu znowu przesadziłem. Może nie przestali się podkochiwać, ale przynajmniej uważają, żeby nie zająć w ciążę.

*

Wszyscy się dziwią i my sami się dziwimy, jak to jest: w tym samym ustroju Czesi żyją znośnie, energowcy nieźle, Węgrzy prawie dostatnio, a Polacy dennie. Oczywiście pod względem gospodarczym. W Pradze na przykład w sklepach mięsnych półki uginają się od towaru, a w Warszawie nagie haki, czyli japońszczyzna. W NRD pociągi opóźniają się trzy kwadranse, a u nas sześć godzin, na Węgrzech czeka się na mieszkanie dziesięć lat, a u nas całe życie.

Pierwsze wyjaśnienie, jakie się do razu nasuwa, to to, że Polacy są niegospodarni, niezdyscyplinowani, rozbałaganieni. Ale tu chciałbym nieśmiało przypomnieć, że przed wojną ci sami Polacy robili doskonałe maszyny do szycia, wspaniałe rowery, świetne wyroby żelazne „Gerlacha”, najtrwalsze samochody w Europie, czyli polskie fiaty, słynne sukna bielskie, najlepsze samoloty w swojej klasie. Nikt w Polsce nie biegał za produktami importowanymi, czyli ten argument niegospodarności, choć obdarzony długą i świetną tradycją, nie bardzo mnie przekonuje. Coś mi się wydaje, że mamy tu do czynienia z innym zjawiskiem.

Polacy są najbardziej doświadczonymi niewolnikami w Europie. Dwieście lat już muszą sobie radzić z różnego rodzaju najazdami, rozbiorami, okupacjami. Być może organizm narodowy doszedł już do granicy krytycznej i nie potrafi więcej znosić przeciążeń niewolniczych. Pewne zwierzęta nie chcą żyć w ogrodach zoologicznych. Są nie do uchwycenia w niewoli. Może i nasz system podświadomych zabezpieczeń, ostrzeżeń i samoregulacji każe nam popełnić samobójstwo ekonomiczno-polityczne. Polacy nie chcą żyć w takich warunkach ustrojowych i politycznych. Polacy jak wieloryby wyłazą na brzeg niebytu. Polacy popełniają zbiorowe całopalenie.

A może naszym przeznaczeniem jest zagłada komunizmu? Może z naszych rąk, z rąk krnąbrnych weteranów niewolnictwa, musi zginąć ta straszliwa odmiana totalitaryzmu. Polacy nie obłaskawiają potwora, nie malują na jego pysku ludzkiej

twarzy, nie humanizują wściekłego zwierza. Polacy chcą go wysadzić w powietrze razem ze sobą. Albo pociągnąć na dno jak młyński kamień.

*

Kawiarniany polityk. Jestem kawiarnianym politykiem. Zawodowi politycy kiwają z politowaniem głowami. Oni wszystko wiedzą lepiej. Oni umieją przewidywać. Bo polityka to dar przewidywania.

Dar przewidywania? Wszystkie szubienice są obwieszane politykami, którzy chępli się darem przewidywania. Wszystkie rządowe domy starców są wypełnione takimi dalekowzrocznymi politykami. Cała historia to jeden wielki brak umiejętności przewidywania.

Tylko my amatorzy, kawiarniani znawcy, jesteśmy w stanie coś zrozumieć i przewidzieć. Bo my wysilamy nasze wieszce moce bezinteresownie, w stanie cudownej łaski naiwności, tak jak poeci.

Dlatego słuchajcie mnie. Zdejmijcie te wasze wyszmelcowane od nieustannego czapkowania kapelusze i słuchajcie mojej maligny, w której jest nieskończona ilość trafnych diagnoz i cudotwórczych recept.

*

Przypomniałem sobie jednego profesorka i krew mnie załała. Przeczytał moją „Małą Apokalipsę” i powiada: – Pan widzi nasz naród jako kupę gnoju. No cóż, można i tak.

Siwy, godny, nauczył się wszystkiego i wie wszystko. Jest uczonym. Jak oni ślicznie i smacznie mówią, jestem u-czo-nym. Ta uczoność to Himalaje pychy. Oni są pyszniejsi od pewnych literatów, a może nawet od niektórych aktorek.

Jest uczony, a nie widzi, co jest napisane i po co. On nie widział nawet tego, że ja sam koślawą nóżką, boczkim, wstydliwie wstępowałem na stos razem z moim bohaterem. On nie rozumie, że gdybym miał za nic ten naród, tobym się nie szamotoł, ile potrafię, przez kilkadziesiąt lat na okoliczność tego narodu. On nie pojmuję, że ja jestem trochę chory na ten naród.

Oczywiście można jeszcze zauważyć, że ten profesor, choć pewnie przeczytał dziesięć tysięcy książek, nie wie nic o literaturze, o jej prawach, obowiązkach, zwyczajach, estetykach, doświadczeniach, przewrotnościach, sposobach psychologicznych, percepcjach, o jej grzeczności i świętości, o jej wielkości i małości, o jej tajemnicach, których domyśla się każda samotna stara panna, skrzywdzony urzędnik, czy wrażliwy i pryszczaty licealista.

Tak się pechowo złożyło, że w tym stuleciu naszymi filozofami byli nauczyciele gimnazjalni, wychowawcy młodzieży. A więc ogniska harcerskie, biwaki, snopy iskier, szum lasu, pogodna noc i długie rozmowy. Co to jest szczęście. Co to miłość. Co to patriotyzm.

III

Trzydzieści lat temu byłem innym człowiekiem. Byłem zupełnie kimś innym. Byłem kompletnie obcą mnie dzisiejszemu istotą, osobą, czy, jeśli chcecie, zwierzyną.

To, co tu mówię, nie jest takim sobie salonowym powiedzonkiem, nie ma tu zadumy nad upływem czasu, ani podziwu dla ewolucji. Chcę mówić o dwóch totalnie różnych ludziach: o Konwickim 1950 i o Konwickim 1981. Oczywiście dat tych używam umownie.

W zeszłym roku na przedwiośniu przyszedł mi do głowy niezbyt pomysłowy pomysł, żeby wydobyć z kąta szafy moją powieść z 1948, albo 1949 roku, książkę nigdy nie publikowaną i przez nikogo, może z wyjątkiem cenzury, nie czytana, i opleść ją współczesną fabułą oraz dzisiejszym komentarzem, i wysmażyć taki przekładaniec, taki esej ze słojami fabularnymi. Wywlekłem zsiniałego trupa spomiędzy pajęczyn, zsiniałego, bo w jakiejś granatowej tekturowej teczce. Ale już sam tytuł, wypisany spłowiałym atramentem, odebrał mi trochę ochoty do życia. Bo tytuł ten brzmiał, a właściwie brzmi do dzisiaj przeklętym schowku: „Nowe dni”. Nowe dni – zwrot wielozapachowy. Cuchnie padliną, śmierdzi szambem, zajezdza trucizną, albo jadem.

Wyjechałem pod Warszawę, żeby nikt nie widział, i w odosobnieniu zacząłem czytać. To nie o to chodzi, że utwór jest głupi i kłamliwy. Po prostu człowiek, który wodził piórem po papierze, jest mi kompletnie nieznany i obojętny. Szukałem cierpliwie znaków wspólnoty, symbolów naszej psychicznej i biologicznej jedności, znamion rodzinnych, albo wspólnej tożsamości. Niestety, z żółkłych stron wyzierała obca gęba jakiegoś faceta, który mnie zupełnie nie obchodzi, z którym nie łączy mnie ani zdawkowa sympatia, ani nawet zwykła ludzka solidarność.

Ale już od dawna zdarzały mi się takie zaskakujące spotkania z nieznanym mi zupełnie, dziwnie obcym człowiekiem, który nazywał się tak jak ja, wyglądał jak ja, miał ten sam numer butów co ja, nawet mieszkał w tych samych domach co ja, nie dość, kochał się w tych samych dziewczynach co ja.

Spotykałem się z nim, tym fatalnym Konwickim, jedynie przez ludzi, przez wspólnych znajomych. Przez teksty nie możemy się spotykać, ponieważ nigdy jeszcze nie zajrzałem do książki opatrzonej naszym wspólnym nazwiskiem. Więc konfrontujemy się przez ludzi, którzy znali go kiedyś, a teraz obcuja ze mną. Mówią mi: pamiętasz, wtedy to powiedziałaś, albo: przypomnij, to wtedy zrobiłeś. A ja słucham ze zdumieniem jakichś bająn o człowieku zupełnie innego usposobienia psychologicznego, innego poczucia humoru, a nawet chyba innej moralności. Nie wiem. jak to wyrazić, nie potrafię tego opisać, ale wierzcie mi, błagam na wszystko, wierzcie mi, że to był inny człowiek. I nie chodzi mi o to, że nie chcę za niego odpowiadać, proszę bardzo, mogę za was wszystkich ponieść odpowiedzialność. Chodzi mi o to, że to mnie przeraża. Na moją biografię składa się dwóch Konwickich. I już nie wiem, który jest dobry, a który zły. I już nie wiem, którym teraz chciałbym być.

Słuchajcie, słuchajcie, co kiedyś was spotykałem i co dziś się z wami zderzam nos w nos. Ja się nie zmieniłem, ja się nie odmieniłem ani na jotę. Ja jestem po prostu kimś innym.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI